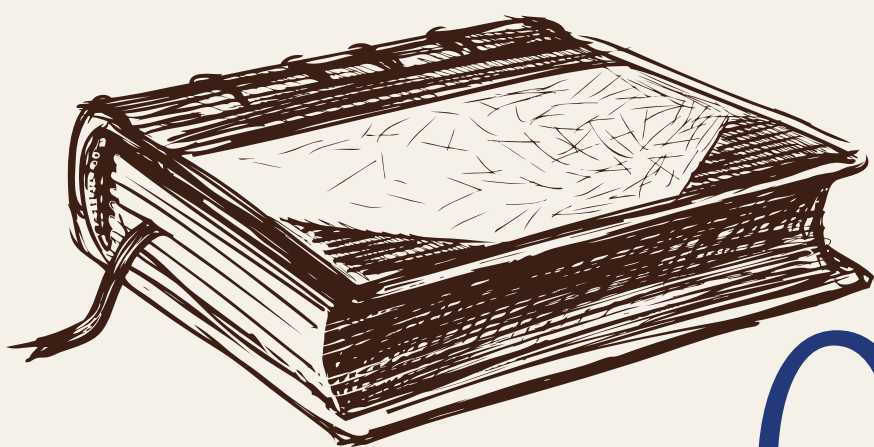


Jak żyć w trudnych czasach, czyli krótki poradnik edukacyjnego survivalu



Włodzisław Kuzitowicz

Pedagog z wykształcenia, wychowawca z powołania. Pracował m.in. jako dyrektor szkoły i poradni wychowawczo-zawodowej, wykładowca w WSP w Łodzi.

W latach 2006–2013 redaktor naczelny „Gazety Edukacyjnej”, wydawanej on-line jako wortal gazeta.edu.pl.

Stając codziennie

*przed uczniami, witając się
co rano z dziećmi, trzeba mieć
przekonanie, że wszystko,
co z nimi i dla nich robimy,
jest dobre i słuszne, że służy ich
rozwojowi, że dzięki temu i my
doskonalimy się w swojej pracy.*

Gdyby hipotetyczni kosmici chcieli wyrobić sobie pogląd o stanie polskiej edukacji wyłącznie na podstawie tego, co można o naszych przedszkolach i szkołach przeczytać w Internecie, prasie drukowanej, obejrzeć w telewizji i posłuchać w radiu, byłby to obraz nie tylko smutny, ale wręcz tragiczny. Sytuacja ta jest skutkiem zarówno od lat stosowanej w mediach zasady, że najlepiej sprzedają się złe informacje, jak i toczącej się od dawna politycznej wojny polsko-polskiej, podczas której najgłośniej słychać przeciwników aktualnej władzy. Jak wiadomo, „zbójcekim prawem opozycji” jest atakowanie koalicji rządzącej, zawsze według reguły, że wszystko, co robią rządzący, jest złe, przede wszystkim dlatego, że robią to ONI. I to właśnie pochodzący z tego źródła obraz polskiej oświaty prezentowany jest najchętniej przez mass media. Zarówno zwykły Kowalski, jak i szeregowy nauczyciel czy „zwykły” dyrektor przedszkola lub szkoły mają do wyboru: albo uwierzyć Władzy, która przekonuje do swoich pomysłów, pokazując wyłącznie lukrowane obrazki „dobrych praktyk” (patrz strony internetowe MEN, ORE, IBE i spoty reklamowe w TV), albo ekscytować się dramatycznymi wizjami zdemolowanej reformy polskiej szkoły, traumą sześciolatków czy dramatem zwalnianych nauczycieli. Sytuację owego przysłowiowego Kowalskiego dodatkowo pogarsza fakt, że nie bardzo ma do kogo zwrócić się po niezależną opinię w tych sprawach.

Wydawałoby się, że takim źródłem obiektywnej wiedzy powinni być ludzie nauki. Niestety, i to środowisko nie jest wolne od podziałów politycznych. Jedni z nich (przez drugą stronę odsądzeni od czci i wiary) weszli w struktury licznych zespołów eksperckich, rad konsultacyjnych, a często wręcz na etaty w afiliowanych przy MEN instytucjach i ośrodkach. Jeszcze inni, nie pchając się na świeczniki, partycypują w realizacji (i wynagrodzeniach) licznych projektów unijnych, dzięki którym – jak twierdzi ministerstwo edukacji – modernizowany jest polski system edukacji. To ich ekspertyzy, publikacje i wypowiedzi medialne są wykorzystywane w kampaniach promujących inicjowane przez rządzących reformy i podejmowane innowacje systemowe.

Po drugiej stronie barykady są uczeni, których sympatie polityczne lub personalne związki łączą z politykami partii opozycyjnych. Ci z kolei cały swój autorytet i zajmowane pozycje w strukturach polskiej nauki oddają na użytek totalnej krytyki poczynań władzy. To z ich artykułów i wywiadów dowiadujemy się, że psychika sześcioletka absolutnie nie jest gotowa do funkcjonowania w systemie szkolnym, to oni udowadniają katastrofalne skutki działania gimnazjów, to ich wypowiedzi deprecjonują wartość egzaminów zewnętrznych. Także reforma programowa, w wyniku której licealiści mają wreszcie szansę poświęcić więcej czasu w dwu ostatnich latach swej nauki przedmiotom, których zgłębienie warunkuje ich dalszą ścieżkę kształcenia, znajduje przeciwników w szeregach tej kategorii uczonych, rwących przysłowiowe szaty w geście protestu przeciw – ich zdaniem – zubożaniu kanonu wiedzy ogólnej absolwentów szkół średnich.

Jak żyć, panie premierze? – chciałoby się zadać to klasyczne już pytanie. Jak w takich warunkach być nauczycielem, a co dopiero dyrektorem? Gdzie szukać motywacji do pracy? Wszak nie od dzisiaj wiadomo, że nauczycielska profesja, obok formalnego statusu zawodowego, ma także cechy misji. Ale czy można być misjonarzem, gdy się nie wierzy w sens niesionego przesłania? Bo przecież stając codziennie przed uczniami, witając się co rano z dziećmi, trzeba mieć przekonanie, że wszystko, co z nimi i dla nich robimy, jest dobre i słuszne, że służy ich rozwojowi, że dzięki temu i my doskonalimy się w swojej pracy. Nauczyciel, który nie identyfikuje się z tym, co robi, staje się najemnikiem, żołnierzem w służbie obcej sprawy, a dyrektor – kondotierem, dowodzącym podległymi mu ludźmi, realizującymi cele takiego lub innego „księcia” rządzącej aktualnie (w państwie, mieście, gminie) opcji politycznej.

Czy można tego uniknąć? Jak w tym bipolarnym świecie (my i oni) funkcjonować w swojej roli, nie tracąc nic ze swej podmiotowości, autentyczności, godności? Czy to w ogóle jest możliwe?

Nie twierdzą, że znam wszystkie odpowiedzi na postawione tu pytania. Nie zamierzam kreować się tym felietonem na mentora, uosobienie wszelakich mądrości. Zamierzam tylko podzielić się swoimi osobistymi doświadczeniami, przemyśleniami kogoś, kto przepracował wiele lat w naszym systemie edukacji, pod rządami bardzo różnych sił politycznych, kto uczestniczył w wielu reformach i kolej-

nych eksperymentach, prowadzonych na „żywym organizmie” oświaty.

Zacznę od przytoczenia pewnego tekstu, który po raz pierwszy przeczytałem w zakończeniu wydanej w 1978 roku książki prof. Kazimierza Jankowskiego, zatytułowanej *Mój Śambhala*: „Boże, daj mi siłę, abym mógł wytrzymać to, co znieść muszę, daj mi odwagę, abym zmienił to, co zmienić mogę, i daj mi mądrość, abym mógł odróżnić jedno od drugiego”. Profesor podał, że jest to fragment modlitwy franciszkańskiej, inne źródła przypisują ten tekst Markowi Aureliuszowi. Nie jest dla nas istotne jego autorstwo, ale przesłanie w nim zawarte. Bo właśnie ta mądrość odróżnienia tego, co ode mnie w żadnym stopniu nie zależy, z czym muszę nauczyć się żyć, do czego przystosować w taki sposób, aby odbyło się to z możliwie najmniejszymi stratami dla tego, co robię i dla mnie samego, od tego, co jest w zasięgu moich możliwości i zależy tylko od mojej inwencji i woli działania, jest w życiu każdego człowieka – a więc i nauczyciela – najważniejsza.

Kierując się tą myślą szedłem przez moje zawodowe życie, które – jak wielu moich rówieśników – w pierwszych latach pracy wypadło mi realizować w epoce „słusznie minionej”. Ale miałem to szczęście, że spotykałem na swej drodze osoby, których przykład i wskazówki pomogły mi w dokonywaniu słusznych wyborów i realizowaniu się w kolejnych miejscach pracy w zgodzie ze sobą. Najważniejszą rolę odegrał tu prof. Aleksander Kamiński. Na zawsze zapamiętałem jego słowa, które wypowiedział w połowie lat 70. ub. wieku podczas pewnego seminarium w Zakładzie Pedagogiki Społecznej Uniwersytetu Łódzkiego. Cytuję z pamięci: „System społeczny to taki wielki las. Rosną w nim wysokie drzewa, mniejsze krzewy i zarośla, trawy i zioła, a w końcu mchy i porosty. Nad lasem często przechodzą burze, wieją wichry. Zdarza się, że pod ich naporem padają lub łamią się drzewa. Ale krzewy i poszycie trwają... A my, wychowawcy, nauczyciele, społecznicy, działamy nie w koronach wysokich sosen czy buków. My powinniśmy troszczyć się o to, co jest w naszym zasięgu: poszycie leśne, krzewy. A przede wszystkim o młodnik...”. Pomny wskazówek profesora, niezależnie od wiatrów wielkiej polityki, przez te wszystkie lata robiłem swoje. Gdy trzeba było – twardo walczyłem o „sprawę” z władzą, jeśli zagrażała „mojej szkole”! I nie żał mi tej strategii, choć dzięki niej przez te wszystkie lata ani ci z lewa, ani ci z prawa nie wystąpili dla mnie o medal KEN.

To nie znaczy, że dyrektor czy nauczyciel nie mogą mieć przekonań politycznych, że nie mają prawa do identyfikowania się z taką lub inną teorią wychowania. Jednak niech to nie zaburza im oceny rzeczywistości, niech pozwala w każdym pomysle kolejnych reformatorów, niezależnie od ich barw partyjnych, odnaleźć coś wartościowego, przydatnego w ich pracy. Rzecz w tym, aby nie dać się wmanipulować w pozamerytoryczne „gierki”, nie „odpłynąć” w obszary ideologicznej fikcji, nie dołączać do grona klakierów władzy – z nadzieją, że będzie ona później dla nas bardziej przychylna. Warto pamiętać o starym przysłowiu, że „dłużej klasztora niż przeora”.